

Siedziałem na brzegu urwiska, moje nogi zwisały nad niemal kilometrową przepaścią. Majtałem nimi niewesoło. Wpatrywałem się w jasną łunę doskonale widoczną nad horyzontem. Jej ciepły, żółty blask trzymał ciemność w ryzach, nie pozwalając jej zerwać łańcuchów. Światło zalewało świat nieustanną powodzią, dając pozory bezpieczeństwa i pokoju. Nic bardziej mylnego. Tęskniłem za nocą. Niestety, nie widziałem jej już od paru lat. I pewnie już nie zobaczę.

Usłyszałem za sobą odgłosy kroków. Nie odwróciłem głowy. O tej porze mogła być to tylko jedna osoba. Igor usiadł obok z ponurym, zamyślonym wyrazem twarzy. Znałem ten wyraz.

- *Znowu skrócili?* – stwierdziłem domyślnie.

Igor mruknął tylko potakująco. Przez chwilę oboje siedzieliśmy w milczeniu obok siebie, ja wpatrując się w horyzont, Igor patrząc ponuro między stopy, w otchłań przepaści.

- *O ile tym razem?* – spytałem w końcu, po to tylko, by przerwać ciszę.

- *Trzy miesiące* – odparł ponuro Igor tym swoim łamliwym akcentem, przez który nieodmiennie sprawiał wrażenie umysłowo upośledzonego.

Ale czy upośledzonego umysłowo zatrudniliby jako wykładowcę na najlepszym rosyjskim uniwersytecie? Tyle, że to było kiedyś. To było przed. Kto dziś potrzebował specjalisty od ekonomii krajów rozwijających się?

- *Fakt, mogło być lepiej* – zgodziłem się w zadumie.

Za naszymi plecami wstawało słońce, rozpraszając cienie. Na nasze twarze padał blask drugiego słońca – tego stworzonego przez człowieka. Jak coś tak wspaniałego mogło być równocześnie tak zabójcze?

- *Czyli naukowcy oceniają, że zostało nam pięć lat życia* – wyszeptalem, patrząc w tarczę tego, co miało być narzędziem naszej śmierci. – *Kiepsko.*

Pasek Igora zapiszczał. Znałem ten dźwięk. Igor wyłączył odbiornik i spojrzeliśmy na siebie z uśmiechem. Mieliśmy gości.

Gdy 16 lipca 1945 roku Amerykanie zdetonowali pierwszą bombę atomową na pustyni w Nowym Meksyku, nie byli pewni co się stanie. Niektórzy z naukowców żywili obawy, że reakcja nigdy się nie zakończy i nad pustynią do końca świata będzie świeciło miniaturowe Słońce. Ale udało się. I udawało się z kolejnymi, coraz potężniejszymi bombami. Aż Chińczycy dokonali na Pacyfiku eksperymentalnej detonacji nowego rodzaju bomby. I ta eksplozja się nie zakończyła. Powstało nowe Słońce, tyle że umiejscowione wewnątrz ziemskiej atmosfery, żywiące się tlenem, wodorem i praktycznie wszystkim co wpadło mu w łapy. No dobra, naukowcy mówili, że to nie jest tak naprawdę Słońce. Ale jak coś wygląda jak kaczką i kwacze jak kaczką... Dla zwykłych, przeciętnych ludzi to wyglądało jak drugie Słońce. Którego blask szybko sięgnął także i na drugą półkulę; choć nie powinno to być chyba możliwe. I to Słońce które ciągle rośnie. Temperatura na planecie szybko zaczęła się podnosić. Drugie Słońce było także źródłem zabójczego promieniowania, przed którym mało co chroniło. Nic w 100%. Nim minął rok od detonacji bomby, prognozy naukowców dały ludzkości 10 lat, nim promieniowanie obejmie całą Ziemię. Dziś ci sami naukowcy dawali lat pięć. Mimo, że minęły ledwie trzy. Denominacja czy jak?

Obecnie żar i promieniowanie objęły już większość globu. Resztki ludzkości skupiły się w punkcie najodleglejszym od Drugiego Słońca – na terenie Skandynawii. Obecnie przypominającej klimatem dawne okolice Kongo. I, jak można było się spodziewać, Skandynawia zrobiła się nagle bardzo, bardzo zatłoczona.

Przykryta plandeką ciężarówka pokonywała kolejne kilometry szosy, wijącej się pomiędzy wyrastającymi niemal pionowo w górę ścianami. Wiozła łupy wywiezione z Czerwonej Strefy (którą ledwie krok dzielił od Strefy Śmierci). Zapuszczających się tam nazywano Żarówami. Popularny żart głosił, że od całego tego wchłoniętego promieniowania świecą w ciemnościach. Wprawdzie będąc w Czerwonej Strefie cały czas nosili stroje ochronne, ale żaden kombinezon nie chronił w pełni. Żarowy żyły średnio od kilku miesięcy do kilku lat, w zależności od tego jak często odwiedzały Czerwoną Strefę. Jednak jeden udany kurs potrafił Żarówę ustawić na długi czas. Więc ryzykowali. Przy potwornym przeludnieniu panującym w Bezpiecznej Strefie, trudno było o pracę. Ci tutaj, w tej ciężarówce, na pewno czuli ulgę, że są już w Strefie Żółtej, o rzut beretem od Bezpiecznej Strefy. Ale Strefa Żółta... należała do nas.

Igor zagroził drogę ciężarówce. Pojazd nie zwolnił; wręcz przyspieszył. Kierowca wiedział, że spotkanie nieznanym w Żółtej Strefie nie wróży nic dobrego. Igor tylko się uśmiechnął. I potwierdził najgorsze obawy załogi ciężarówki. Ukazując to, co do tej pory trzymał ukryte za plecami. A było to nic innego jak oryginalna, amerykańska bazooka. Wprawdzie Max, który teraz czekał ukryty w rowie przy drodze, twierdził, że prawidłowa nazwa to „granatnik przeciwpancerny”, że bazooki wyszły z użycia jeszcze w latach 60-tych, niedługo po wojnie w Korei. Niezależnie jaka była prawidłowa nazwa tej broni, Max niedawno nauczył Igora się nią posługiwać i Igor aż się palił, by wypróbować jego nauki w praktyce. Z zadowoleniem położył sobie bazookę/granatnik na ramieniu, wycelował i postął raketę wprost w zbliżający się pojazd. Kierowca próbował zejść jej z drogi gwałtownie skręcając kierownicą, ale nie miał szans. Pocisk uderzył wprost w lewy reflektor. Eksplozja targnęła ciężarówką, lewe przednie koło trzasnęło jak balonik. Siła wybuchu wręcz podniosła pojazd i przewróciła go na prawy bok. Przeszorował jeszcze kilkanaście metrów po asfalcie, nim się zatrzymał. Wtedy wypadliśmy my. Max i Kemal wychynęli z rowu i z dzikimi okrzykami, potrząsając strzelbami, popędzili w kierunku kabiny. Wywlekli trójkę Żarów na zewnątrz. Ja i Alonso sprawdzaliśmy w tym czasie ładunek. Żywność, leki, trochę sprzętu. Wszystko trzeba będzie odkazić, ale to da się zrobić. Benzyna. Dobrze, benzyna świetnie schodziła. Jedna beczka pękła podczas wywrotki, odtoczyliśmy ją zaraz, uważając by jak najmniej rozlać. Radosny wrzask Kemala oznajmił nam, że jedną z Żarów jest kobieta. Fajnie, dodatkowa premia. Na tych pustkowiach trudno znaleźć okazję do zamoczenia ogóra. Razem z Alonso podeszliśmy szybko, zanim Kemal zbyt ją uszkodzi. Lepiej było nie zostawiać go sam na sam z niczym co ma piersi. Może dlatego, że był Turkiem. A może był zwyczajnie popieprzony. Czy miało to znaczenie? Żadnego. Zresztą obecnie nie istniały już państwa i narodowości. Z wyjątkiem Chińczyków. Ale nie wiem czy uchował się jeszcze choć z jeden z owego miliarda. Zemsta to dziwne, mocno nieracjonalne uczucie.

Kemal szarpał się z kobietą, zrywając z niej ubranie. Była młoda, nie więcej niż 20-25 lat. Igor zajął się ciężarówką, sprawdzając co z niej może nam się jeszcze przydać. Wolał trzymać się z dala od naszych zabaw. Max wepchnął jednemu z mężczyzn lufę strzelby w usta, wybijając zęby. Krew pociekła po brodzie Żarowy. Wpatrywał się przerażonym wzrokiem w Maxa. Był przed pięćdziesiątką, chudy, w okularach jak denka od butelek. Typowy profesorek, trochę podobny do Igora. Tyle że Igor nie nosił okularów i był tęższy. Max nacisnął spust i głowa Żarowy eksplodowała w ferii krwawych kawałków kości i mózgu. Max zaśmiał się szaleńczo. Ostatni Żarowa próbował wczołgać się pod przewróconą ciężarówkę, ściskając rękę, najwyraźniej złamaną. Był w wieku dziewczyny, ogolony na tyso jak oni wszyscy. Alonso poszedł za nim, chwycił go za nagą czaszkę i odciągnął jego głowę do tyłu, wbijając palce w oczodoły. Krzyk Żarowy został przecięty w pół, gdy Alonso wprawnie przeciągnął nożem po jego tchawicy, podrzynając mu gardło. Alonso lubił noże. Żarowa padł

ziemię, wstrząsany drgawkami, dusząc się i wykrwawiając. Alonso patrzył na to z fascynacją. Igor zerknął w tamtym kierunku i zaraz zniesmaczony odwrócił głowę. Ja? Mnie to nie ruszało. Jeszcze rok temu zdarzało mi się robić gorsze rzeczy. Ale teraz miałem tą fazę za sobą. Nadal jednak lubiłem dziewczyny. Podszedłem do Kamala i naszej ostatniej żywej Żarowy – tej z piersiami. Obnażonymi już przez Kamala i prezentującymi się – musiałem przyznać – całkiem nieźle. Ogolona głowa nie jest specjalnie silnym afrodyzjakiem, ale parę tygodni spędzonych na odludziu w towarzystwie samych facetów – jak najbardziej. Broniła się jak dzika kotka, aż Kamal musiał huknąć ją pięścią w twarz. Skrzywiłem się. Już sam brak włosów ją szpecił, a krew i wybite zęby na pewno nie poprawią wrażenia. Chyba jednak Kamal dochodził do wprawy, bo nabił jej tylko śliwę i lekko ogłuszył. Patrząc tak na jej twarz, zmarszczyłem brwi. Wyglądała dziwnie znajomo. Jakbym gdzieś już ją widział. Nie, żeby miało to znaczenie, ale... I nagle jakby mnie piorun strzelił. Ja ją znałem! To była Alicja Szczepańska! Chodziliśmy razem do podstawówki i do liceum, nasze matki były najlepszymi przyjaciółkami. Od lat nie miałem z nią kontaktu, ale przecież to była ta sama Ala, z którą bawiłem się w sklep i od której ściągałem fizę. Zrobiło mi się gorąco. Chciałem się odwrócić, nie dopuścić by mnie rozpoznała. Ale mogłem tylko wpatrywać się jak oniemiały w jej twarz. Trzask materiału wyrwał mnie ze stuporu. To Kamal zdarł z niej majtki. Ocuciło to też Alę. Krzyknęła głośno, przeszywająco. Kamal zamierzył się na nią raz jeszcze. A ja nie mogłem temu przeszkodzić. Bo kimkolwiek by ona nie była kiedyś, teraz była łupem. Zdobyczą. Nie moją. Naszą. Nie mogłem przeszkodzić Kamalowi i reszcie zabawiać się z nią, gwałcić póki nie wyzionie ducha. A znając temperament Kamala i umiłowanie do noży Alonsa, nie potrwa to długo. Nie mogłem wejść między nich a ich ofiarę. Nie mogłem.

Moja ręka zacisnęła się na nadgarstku Kamala, nim ten zadał cios.

- *Zostaw ją* – usłyszałem cichy, rozkazujący głos.

Głos, który okazał się należeć do mnie. Kamal spojrzał na mnie zdumiony.

- *Znam tą dziewczynę. Zostaw ją* – powtórzyłem, wplatając w głos żelazne nuty.

Co ja wyprawiałem? Ale przecież nie mogłem dopuścić, by on zgwałcił Alę. Nie Alę.

- *Co się dzieje?* – Alonso podszedł do nas, strzepując krew z ostrza.

Nie słyszał, o czym rozmawialiśmy, ale nasze gesty przyciągnęły jego uwagę.

- *Marek nie pozwala nam przelecieć tej Żarowy* – odpowiedział mu obojętnie Max, będący świadkiem całego zajścia. – *Mówi, że ją zna.*

- *Pieprzyć to* – prychnął Alonso, spoglądając na mnie nieprzychylnie. – *Nie rznąłem od dwóch miesięcy. Jak mu tak na niej zależy, niech sam się wypnie, bo ja zamierzam coś dzisiaj wydymać. Jak nie ją, to jego.*

Zmierzyliśmy się nieustępliwym wzrokiem. W myślach obliczałem ile zajmie mi wyszarpięcie pistoletu i strzelenie do niego. I jakoś za każdym razem wychodziło mi, że trzymany przez niego nóż znajdzie się między moimi żebrami pierwszy. I to nawet zakładając, że Kamal i Max się nie wtrąca. Wprawdzie Alonso polował w Żółtej Strefie dwa lata krócej niż ja, ale przedtem był żołnierzem. Ja studentem. Kiepsko to wyglądało. Ale było już za późno, by się wycofać.

Oczekiwanie przerwał Kamal. Zniecierpliwiony naszym bezruchem, niespodziewanie podniósł się i wyrwał rękę z mojego uścisku. Udałem że tracę równowagę i wpadłem na niego. Alonso ruszył na mnie, unosząc rękę, ale bojąc się rzucać gdy częściowo zasłaniał mnie Kamal. Nie, nie bał się, że go zrani. Nie chciał stracić noża. Wiedział, że zdążyć strzelić nim dobiedzie kolejnego. Pchnąłem zdezorientowanego Kamala w jego stronę, Alonso odepchnął go wściekle. Stracił jednak cenną sekundę i rytm kroków. Ciął rozpaczliwe na odlew, próbując mnie dosięgnąć. Nie sięgnął. Mój Walther P-99 plunął ogniem. Nie była to jakoś szczególnie

potężna broń. Używała jej policja, zwykli mundurowcy. Wystarczyła. Kula targnęła Alonsem, odrzuciło go ode mnie. Trzy następne podziurawiły jego tors niczym tarczę strzelniczą, by w końcu rzucić go o podłogę. Padł ciężko, jak wór kartofli. Wymierzyłem do Kamala. Przerażony, podniósł szybko ręce, poddając się. Nie strzeliłem. Kamal był jak rottweiler - nie był groźny, póki trzymało się go w ryzach. A trup Alfonsa był wystarczającym straszakiem. Zerknąłem na resztę. Max trzymał strzelbę opuszczoną, jego twarz była spokojna, jedynie oczy pozostawały czujne. Nie, nie wtrąci się. Max zwykł unikać wszelkich konfliktów, jeśli tylko nie dotyczyły bezpośrednio jego. Igor stał przy ciężarówce. Oddychał ciężko, patrząc to na mnie, to na ciało Alonsa. Nasze starcie musiało wytrącić go z równowagi. Zwłaszcza finisz. Nasze spojrzenia się spotkały. Pierwszy odwrócił wzrok. Wrócił do ciężarówki, kontynuować ocenę zniszczeń. Schowałem pistolet do kabury i ukląknę przy Alicji. Drżała cała, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. Niezdarnie poprawiłem na niej podartą sukienkę, zakrywając piersi i łono.

- *Już w porządku, Ala* – szeptałem uspokajająco, nie bardzo znajdując słowa odpowiednie w tej sytuacji. – *Już w porządku* – powtarzałem więc, licząc że ton głosu dokona tego, czego nie mogła treść.

- *Ma... Marek?* – spytała szcękając zębami (to od szoku), niepewnie.

- *Tak, to ja. Już dobrze, już jesteś bezpieczna* – chciałem, by moje zapewnienia zabrzmiały jak najbardziej szczerze.

Nie była bowiem bezpieczna. Wcale a wcale. Nie miałem pojęcia co z nią zrobić. Nie mogła wrócić do Bezpiecznej Strefy. Sprzedawaliśmy tam towar zdobyty na Żarówach, jak o nas opowie, nie będziemy się już mogli tam pokazać. Miałaby zostać z nami? Była za delikatna do polowań na Żarowy; zresztą Kamal i Max nie utrzymaliby węży w spodniach mając obok kogoś z cyckami 24 godziny na dobę. Zwyczajnie by nie wytrzymali. Ja zresztą też bym nie wytrzymał. Nie wiedziałem co zrobić. Szeptałem więc tylko do niej uspokajająco, starając się coś wykombinować w tej mojej pustej makówce.

- *Gildia!!!* – na wrzask Maxa poderwałem się gwałtownie, czując lodowaty sopel wbijający się w mój kręgosłup.

Nie byliśmy jedyną grupką polującą na Żarowy. Nie powiem, to było ryzykowne zajęcie. Żarowy nieraz zacięcie broniły swych zdobyczy, a w Czerwonej Strefie zdarzało im się znajdować istic mordercze spluwy. Nasza bazooka pochodziła przecież z jednego z transportów Żarów. Ich pech, że nie zdążyli jej użyć, bo byłoby po nas. Również ciągłe przebywanie w Strefie Żółtej – strefie małego promieniowania – groziło niemiłymi konsekwencjami zdrowotnymi, które często przerażały tych z Bezpiecznej Strefy. Nazywali nas Łupieżcami. Ale jak wyglądała alternatywa? Gnieźdzenie się w skrajnie przeludnionych barakach. Nędzne, brejowate posiłki wydzielane z publicznych garkuchni. Przepychanie się z tysiącami takich jak my w poszukiwaniu pracy. Jakiegokolwiek. Byleby choć odrobinę poprawić swoje warunki życia. Kupić czekoladę raz na miesiąc. Upić się nędznym samogonem pędzonym przez sąsiada. Pojechać nad morze, by się wykąpać w morzu – w mieście brakuje przecież wody nawet do picia. I wszędzie ten śmierdzący, brudny tłum. Masa ludzi otaczająca cię na każdym kroku. Zero prywatności. Zero przestrzeni.

To nie jest życie. To wegetacja.

Oczywiście można zostać Żarową. Jeździć do Czerwonej Strefy i zwozić porzucone podczas ewakuacji różne przydatne rzeczy. Tyle że wraz z przesuwaniem się Strefy Śmierci na północ coraz trudniej było znaleźć coś przydatnego. Widzieliśmy to po łupach, jakie na nich zdobywaliśmy. No i było promieniowanie, o wiele silniejsze niż tutaj, w Strefie Żółtej. A

wracając, zawsze mogli natknąć się na takich jak my. Byliśmy drapieżnikami. A Żarowy były naszymi ofiarami. Lepiej być drapieżcą niż ofiarą, to wie każdy. Przestrzeni mieliśmy pod dostatkiem, a dobra tyle ile zdołaliśmy zagrabić. Bajka. Taa, jasne. Częściej było to przymieranie głodem i zdychanie w jakimś szałasie na chorobę popromienną albo od rany po kuli. Ale i tak woleliśmy to niż Bezpieczną Strefę.

Ktoś tam jednak poszedł w końcu po rozum do głowy. Oszacował ile Żarowy tracą przez takich jak my i wyszło mu, że można na tym zarobić. Za część (spora) zysków z każdego transportu, Gildia zapewniała zbrojną ochronę przed atakami łupieżców. Oczywiście „zapewniała” to słowo użyte mocno na wyrost. Środki posiadane przez Gildię były mocno ograniczone, nie wszystkim więc atakom mogła zapobiec. A do większości transportów i tak docierała zbyt późno dla Żarów (choć nie dla ich ładunku). Dlatego mało które Żarowy decydowały się na ich ochronę. Jeśli jednak grupka łupieżców taka jak nasza miała tego pecha i trafiała na transport chroniony, a w pobliżu akurat był patrol Gildii – miała przerąbane. Tak jak my teraz.

Helikopter szturmowy zbliżał się bardzo szybko w naszą stronę, lecąc pomiędzy skalnymi ścianami ściskającymi nitkę szosy. Dopiero teraz doszło nas echo pracy łopat wirnika, rozcinających parne powietrze. Dostrzegłem zarys działek zawieszonych pod krótkimi skrzydłami (nie na tyle krótkimi jednak, by pod każdym nie zmieściła się jeszcze gotowa do wystrzelenia rakietą). Max rzucił się rozpaczliwie w kierunku bazooki (przepraszam: granatnika przeciwpancerneho). Gdyby zdążył ją przetłoczyć i wystrzelić... Nie zdążył nawet dobiec. Działka ożyła i plunęła ogniem. Kule wryły podwójną ścieżkę do Maxa i rozszarpały go na strzępy metalowymi kłami. W tym, co upadło na ziemię, z trudem dało się rozpoznać człowieka. Musieli używać jakiejś amunicji rozpryskowej czy czegoś w tym stylu. Padłem na głowę, zasłaniając głowę rękami. Kamal popełnił błąd próbując uciekać. Śmigłowiec zawisł w powietrzu, a jego działka ponownie się rozszalała. Poprzez ogłuszający łoskot towarzyszący wystrzeliwanej serii dobiegł mnie krótki krzyk Kamala, zakończony bulgoczącym charkotem. Kątem oka dostrzegłem, że helikopter zawisł nisko nad ziemią i wyskoczyła z niego trójka żołnierzy Gildii w ich charakterystycznych mundurach, każdy z karabinem w rękach. Sięgnąłem po broń, ale nie miałem szans. To byli zawodowcy. Opuściłem wolno rękę widząc dwie lufy mierzące w moją głowę. Trzeci wyprowadził Igora z ciężarówki. Uklękliśmy z rękoma założonymi za głowę, pilnowani przez jednego z żołnierzy, podczas gdy pozostałych dwóch zajęło się oględzinami ładunku i pasażerów. Pilot pozostał w śmigłowcu, gotów do natychmiastowego startu w razie jakichś kłopotów. Czyżby spodziewali się, że jest nas więcej? Chciałbym, żeby tak było.

Alicja, otulona w koc, przeszła przed nami podtrzymywana przez żołnierza Gildii, sądząc po mundurze chyba dowódcę patrolu. Zerknął na nas, po czym spojrzął na żołnierza za naszymi plecami.

- *Rozstrzelać* – rozkazał beznamiętnym tonem, nie poświęcając nam więcej uwagi niż łajnu na podeszwie buta.

Serce podeszło mi do gardła. Słyszcząc z tyłu metalowy szczęk niemal zsiąłem się z przerażenia.

- *Alicja!* – zawołałem, nie mogąc opanować drżenia głosu, nie ruszając jednak dłoni przyklejonych do potylicy. – *Ala, proszę! Powstrzymaj ich! Uratowałem cię przecież! Ala!* – ze strachu aż zabrakło mi tchu w gardle.

Zatrzymali się, dowódca patrolu obejrzał się zdziwiony.

- *Zna go pani?* – zwrócił się do Alicji, unosząc brwi. – *Możemy go wziąć ze sobą. W mieście i tak czeka go rozprawa, ale jeśli zezna pani że panią uratował, może ocalić głowę.*

Nie zabiją mnie. Poczuję ulgę rozlewająca się ciepłem po moim ciele; nogi mi drżały, dobrze że klęczałem, bo bym upadł. Już byłem pewien, że to mój koniec, na 100 procent. Przełknąłem i odetchnąłem bezgłośnie.

- *Nie znam go* – skłamała Alicja cicho, nie patrząc na mnie.

Opadła mi szczęka. Otworzyłem szeroko oczy pewny, że źle usłyszałem. A w żołądku poczułem kamień wielkości pięści, ciągnący mnie w dół. Bardzo zimny kamień.

- *Ala...* - wyszeptalem błagalnie.

- *Jest pani pewna?* – spytał dowódca bacznie.

Nie uwierzył jej, widziałem to po nim. Każdy z nich wiedział, że ona kłamie. Ale oni byli z Gildii. A ona była klientką. To od niej wszystko zależało.

- *Jestem* – potwierdziła wbijając wzrok w ziemię.

Wyminęła go i ruszyła dalej w kierunku śmigłowca. Dowódca po chwili spojrzął na żołnierza za moimi plecami i skinął mu głową.

- *Ala!!!* – wrzasnąłem.

Seria strzałów za mną, tak szybkich, że zlały się w jeden dźwięk. Twarz Igora eksplodowała, kawałeczek jego skóry - suto unurzany w krwi - wylądował na moim policzku z ohydnym plaskiem. Ogłuszony hukiem przewróciłem się na bok, mrugając szybko. Miałem mdłości; ale już nie zdążę puścić pawia. Żołnierz wycelował lufę karabinu we mnie. Był młody, chyba młodszy niż ja. Miał bardzo krótko obcięte, rudawe włosy. Dlaczego zwracałem na to uwagę?

- *Nie!* – zastoniłem twarz ręką w próżnym geście. – *Ala!!!*

Terkot karabinu. Ból. Ciemność.